

Mój Tata w bauzugu

Miał na imię Zygmunt i zawsze był dla mnie mężczyzną o silnej osobowości.



Miał swoje zdanie, etyczne wartości i ustalone poglądy. Wiódł z nami w miarę spokojne domatorskie życie. Czytał dużo książek, a od czasu wojennego pobytu w Anglii, zawsze marzył o motocyklu.

Od nikogo nigdy nic nie pożyczał, choćby nie wiem jak bardzo czegoś brakowało w naszym domu. Honorowy nawet w biedzie. Bardzo pracowity.

W wolnym czasie malował mieszkania u ludzi. Zarobione w ten sposób pieniądze, przeznaczył na kupno wymarzonego motocykla - WSK-i.

Z czasem wymienił go na lepszy model - czeską Jawę 250. Rajdował nią po okolicach budząc podziw u sąsiadów i mijanych z zawrotną szybkością drzew.

Woził nas do lasu na grzyby, jagody i poziomki. Las był drugim domem Taty.

Dużo czasu spędzał w zaczarowanej wtedy dla mnie piwnicy, która kryła wiele skarbów. Wszystko tam było dla nas maluchów bardzo interesujące.

Posiadał zdolności techniczne, wiele rzeczy potrafił sam skonstruować i praktycznie wszystko umiał naprawić.

W dość obszernej piwnicy, panował prawie pedantyczny porządek.

Był tu wydzielony kącik na węgiel, równiutko porąbane na rozpałkę drewno, był też kącik na wszelkie potrzebne Tacie akcesoria i narzędzia. Swoje miejsce miały farby i wyczyszczone na glanc pędzle.

W skrzyni, otulone starym kocem drzemały ziemniaki.



Kiedy byłam małą, temat II Wojny Światowej przewijał się często w Polsce. W mediach, prasie i na akademiach szkolnych. My dzieci, miałyśmy czasem przesył tego tematu.

Tata również opowiadał nam swoje „przygody”, które przeżył podczas okupacji. Początkowo pochłaniałam je z otwartą buzią, bo były bardzo interesujące. Potem wkomponowały się w nasze dziecięce serca i żyły pamięcią historii.

Kiedy przebrzmiały echa komuny i rzadziej w mediach było słychać opowieści represjonowanych osób, zapragnęłam zapisać wojenny życiorys Taty.

On był już wtedy starym, schorowanym człowiekiem.

Pewnego dnia poprosiłam go, aby wszystko jeszcze raz, od początku do końca, ze szczegółami mi opowiedział.

W ten sposób powstał szkic dat i miejsc, które przeżył, na pewno nie na własne życzenie. A przegoniła go ta wojna po całej Europie !

Równocześnie podjęłam w jego imieniu starania, o wypłacenie przez Fundację Polsko - Niemieckie Pojednanie odszkodowania, za przymusowe roboty na terenie Rosji, Niemiec i Francji. Tata nie wierzył, że dostanie jakąkolwiek rekompensatę. Wtedy też, głośno w prasie brzmiała afera, kiedy członkowie zarządu tej zaszczytnej instytucji, przyznali sobie premie, w wysokości bodajże 300 tys zł na osobę.

A starzy, sponiewierani wojną ludzie, odchodzili do Bozi, nie doczekawszy się na bezwzględnie należne im zadośćuczynienie.

Ja jednak uparcie pisałam pisma, bo uważałam, że Tacie należy się odszkodowanie za zszarpanie zdrowie i nerwy.



Problemem prawie nie do przeskoczenia był fakt, że już wtedy, nie można było znaleźć świadków. Koledzy z czasów okupacji rozjechali się na różne strony świata albo poumierali. Nigdzie też w dostępnych archiwach, nie było śladów pracy Taty na rzecz okupanta.

Udało mi się dotrzeć do źródeł i potrzebnych informacji, dopiero miesiąc po jego śmierci. W archiwum naszego USC, znalazłam kwestionariusz, który wypełnił Tata po wojnie, w latach 50-tych, starając się o wydanie dowodu osobistego. W ankiecie był pokrótce i własnoręcznie przez Tatę opisany cały szlak, jaki przeszedł podczas wojny.

O Boże... To ja wysyłałam petycje do PCK i Niemiec, a dowody jego przymusowej pracy były tak blisko - w moim mieście.

Tata nie dowiedział się o tym, nie doczekał.. Zmarł dwa tygodnie wcześniej. Nie rozumiem dlaczego miejscowy ZBOWiD, podawał mi adresy do tak odległych instytucji, zamiast w pierwszej kolejności skierować mnie do Urzędu Miasta? Ile jeszcze ludzi, w podobny sposób, niechcący wprowadzono w błąd?



Wojenny życiorys mojego Taty jest jak scenariusz sensacyjnego filmu. Uważam, że warto o nim napisać. Przywołać pamięć tamtych dramatycznych dni i jego traumatycznych przeżyć.

Wrzesień 1939

Zmobilizowano mnie do Wojska Polskiego.

Z Katowic maszerowaliśmy w kierunku Sosnowca na Wolbrom. W okolicach Kowla, dowództwo opuściło nas i pozostawiło własnemu losowi.

Każdy na własną rękę powrócił do domu.. Mój był w Szopienicach.

Październik 1939

Za odmowę Niemcom podpisania volks listy, skierowany zostałem do pracy na kolei w Jeleniej Górze. Pracowałem tam prawie dwa lata - do czerwca 1941 roku.

Podczas pracy na torach, uległem wypadkowi i z pogruchotaną ręką odesłano mnie do domu. Kiedy wydobrzałem, przydzielono mnie do pracy na kolei śląskiej.

Cieszyłem się bardzo, bo blisko był mój dom.

Lipiec 1941

Wezwano mnie do urzędu i wręczono bilet do Poznania. Formowano tam pociągi robocze Wehrmachtu, tzw. bauzugi. Były to składy z piętrowymi łózkami do spania.

Zatrudnieni w bauzugu robotnicy, usuwali szkody po bombardowaniach, pod czujnym okiem Niemców,

Bauzug - mój nowy dom. (zdjęcie archiwalne)



Z Poznania zawiozły nas te bauzugi na tereny Rosji. Do Lasów Katyńskich i Orszy. Pracowaliśmy przy naprawianiu torów, pod nieustannym ostrzałem samolotów sowieckich i niemieckich. Moim nieodłącznym towarzyszem był głód i strach. Nigdy nie wiedziałem, czy przeżyję do wieczora. Do następnego dnia. W wagonie było ciepło tylko wtedy, kiedy zdesperowani siarczystym mrozem, odważyliśmy się pobiec do lasu po drewno na opał. Granaty fruwały pomiędzy głowami, paraliżował strach. Słynne rosyjskie zimy dawały nam ostro w kość. Ziemia pod torami zamieniała się w kamień. W rytmie detonacji i odgłosów kilofów, drżały nasze serca. Do pracy wychodziliśmy o świcie a wracaliśmy o zmierzchu, w składzie zazwyczaj mniejszym niż o poranku. Koledzy ginęli od kul, umierali z wycieńczenia i chorób. Jedliśmy zazwyczaj ziemniaczane łupiny, Rarytasem był chleb czy zupa - to zbyt piękne określenie tego, co mieliśmy w miskach. Podtrzymywaliśmy się na duchu i modliliśmy o jak najszybsze zakończenie tej durnej wojny.

Cały czas marzyłem o ucieczce. Myśl o rodzinie, domu, talerzu gorącej stawy, była jak piękny, nieziszczalny sen. Szukałem wśród kolegów chętnych, którzy też chcieliby wyrwać się z tego piekła. Gdy pewnego dnia w bauzugu wybuchł pożar, uznałem, że to znak od Boga by wiać.



Do Polski urwaliśmy się Władkiem. Bez dokumentów, bez pojęcia i wyobraźni, czym może się skończyć nasza brawurowa decyzja.

Zanim dotarłem do domu, umierałem ze strachu i zimna wiele razy.

Śmierć zaglądała mi do oczu, przez podziurawione pociskami deski bydłych wagonów. Nie zawsze mieliśmy rozeznanie dokąd jedziemy. Przyświecała nam tylko jedna myśl - byle jak najdalej od Rosji i tych przeklętych bomb i mrozów. Przeczekiwaliśmy z Władkiem dzień w lasach, a o zmroku zakradaliśmy się do towarowych składów i jechaliśmy przed siebie. W brudzie, strachu, poniewierce, ale ze świadomością, że do domu.

Władka złapali wcześniej. Nieznany mi jest jego los.



Niemcy byli wszędzie, a ja jak szczur, chowałem się w każdą możliwą dziurę aby uniknąć ich czujnego wzroku. Konfidenci byli również wśród Polaków, dlatego niechętnie zwracałem się do nich o pomoc.

Miałem więcej szczęścia niż rozumu.

Po tygodniu tułaczki, cały w gorączce i strachu, dotarłem do Chrzanowa, do domu.

Wolnością nacieszyłem się dwa dni. Do drzwi załomotali gestapowcy i zabrali mnie na przesłuchanie. W areszcie, cały w strachu, przesiedziałem trzy miesiące. Czekałem na wyrok.

W czerwcu 1942 odbyła się w katowickim sądzie rozprawa i za ucieczkę zostałem skazany na rok ciężkich robót.

Czy może być jeszcze gorsza praca, niż kucie kilofem w betoniastej ziemi pod przelatującymi ponad głową bombowcami? Okazuje się, że tak.

Zostałem przewieziony do zamkniętego obozu pracy przy Hucie Bobrek.

Trzymiesięczny okres spędzony w areszcie, skrupulatne gestapo, z niemiecką dokładnością, odliczyło mi od wyroku.

Pozostałe 9 miesięcy były dla mnie wielką szkołą przetrwania.

Pracowałem całe dni przy martenowskich piecach. Staniałem się ze zmęczenia.

Głodowe racje żywnościowe i praca ponad siły, wycieńczyły mój organizm.

W tym czasie ważyłem 40 kg.

Najgorsze jednak były dla mnie naloty. Huta, obiekt strategiczny, była często bombardowana. Wtedy nie patrząc, czy dosięgnie mnie kula z karabinów pilnujących nas żandarmów, uciekałem za mur i w polu obserwowałem przebieg dramatycznych zdarzeń w hucie.

Niemcy z huty, znali mnie i wiedzieli, że zamelduję się zaraz po nalocie.

Niektórzy mnie nawet lubili.

Kiedy było już po wszystkim i wracałem na teren obozu, kiwali złowrogo palcem i wołali: Sigmont, faflukter donner weter!!

Ani im, ani mnie, nie było wtedy do śmiechu.



Po odbyciu kary za ucieczkę z Rosji,
w kwietniu 1943 roku opuściłem Hutę Bobrek i wróciłem do domu.
Miesiąc pozwolono mi lizać rany na ciele i duszy.

W maju 1943

Otrzymałem bilet do kolejnego piekła.

Miałem zameldować się znowu w Poznaniu, skąd czekał mnie wyjazd również
bauzugiem, tym razem do Niemiec.

Kiedy z tobołkiem drobiazgów zbliżyłem się do pociągu, nagle usłyszałem znajome
głosy: Zygmunt !! Co ty tu robisz? Zdębiałem. Kto mnie tu może znać?

W oknach zobaczyłem twarze kolegów - z bauzugu katyńskiego!!

To byli moi towarzysze niedoli spod Orszy!! Byłem w szoku.

Co się okazało... Mój poprzedni katyński bauzug, z którego rok temu uciekłem,
przekierowano z Rosji do Niemiec przez Poznań. Jechali nim wszyscy Polacy,
którzy ten czas przeżyli.

Wróciłem do kolegów jak bumerang. Tyle, że z balastem roku więzienia, który
chciałem wymazać z pamięci.



Dotarliśmy do Berlina. Nadal usuwaliśmy spowodowane nalotami szkody kolejowe.



Warunki były teraz lepsze, bo nocowaliśmy w metro. Tam chociaż było ciepło. A jak nie było, to się rozgrzewaliśmy koniakami wykradanymi z niemieckich transportów.

Popularna pomiędzy nami a Niemcami była wtedy wymiana towarowa.

My im dawaliśmy kradzione papierosy a oni nam czekoladę.

Potem tak się wycwaniliśmy, że ze środka tutki zręcznie wysypywaliśmy tytoń i podmienialiśmy go na drobno skruszone śmieci. Tytoniem nadsypywaliśmy tylko koniec i początek tutki papierosa.

Kiedyś uradowany, że Niemca zrobiłem na szaro, otworzyłem z radością tabliczkę czekolady i zatopiłem w niej gryza. O mało co zęba nie złamałem.

Sprytny Niemiec, ulepił z gliny tabliczkę na kształt czekolady i pomalował ją na brązowo. Bruner wykręcił mi numer. Były takie komiczne sytuacje.

Częściej jednak towarzyszył nam strach i ogromna tęsknota za domem.

Po pięciu miesiącach mojej kolejowej tułaczki,

W październiku 1943

Skierowano nasz bauzug na tereny Francji - do Nantes a potem Rouen.

Nadal wymienialiśmy zniszczone bombami podkłady kolejowe i remontowaliśmy nie nadające się do eksploatacji szyny.

Zawsze mieliśmy do wykonania określony odcinek trasy i kiedy wcześniej skończyliśmy robotę, mogliśmy wrócić do bauzugu. Niemcy byli czasem łaskawi. Śnił mi się chleb i dom. Wszyscy mieliśmy już dość tej bezsensownej wojny.

Pilnujący nas Niemcy byli różni. Wredni i sympatyczni. Nie wszyscy popierali tę wojnę. Zawsze jednak konsekwentnie przestrzegali regulaminu pracy.

Czasem okazywali nam trochę litości i szacunku.

Ja byłem lubiany. Umiąłem grać na harmonii i zawsze miałem nosa, w którym transporcie jest wyjątkowo atrakcyjny towar. Chciałem przetrwać.

Nigdy nie wypłem ze zgryzoty tyłu markowych koniaków co wtedy.



W sierpniu 1944 roku

Po blisko roku pracy na okupowanych francuskich ziemiach, nadszedł upragniony dzień. Wyzwodziły nas wojska amerykańskie. Piękny czas. Słońce było wtedy takie słoneczne jak nigdy. Choć niebo czarne od łun.

Przewieziono nas do obozu dla internowanych, w okolicy Paryża.

Mieliśmy tam ludzkie warunki i w miarę godziwe porcje żywnościowe.

Zakochałem się. Moja piękność była córką rzeźnika. Serce biło na jej widok.

Zaborczy, a może po prostu mądry ojciec mojej dziewczyny, zabronił nam się spotykać. To były dla mnie trudne dni. Nie potrafiłem walczyć o tę miłość.

Mam jednak z tego paryskiego okresu piękne i wzruszające wspomnienia.

Widać nie dane mi było związać swego losu, z wędlinami najlepszego gatunku.

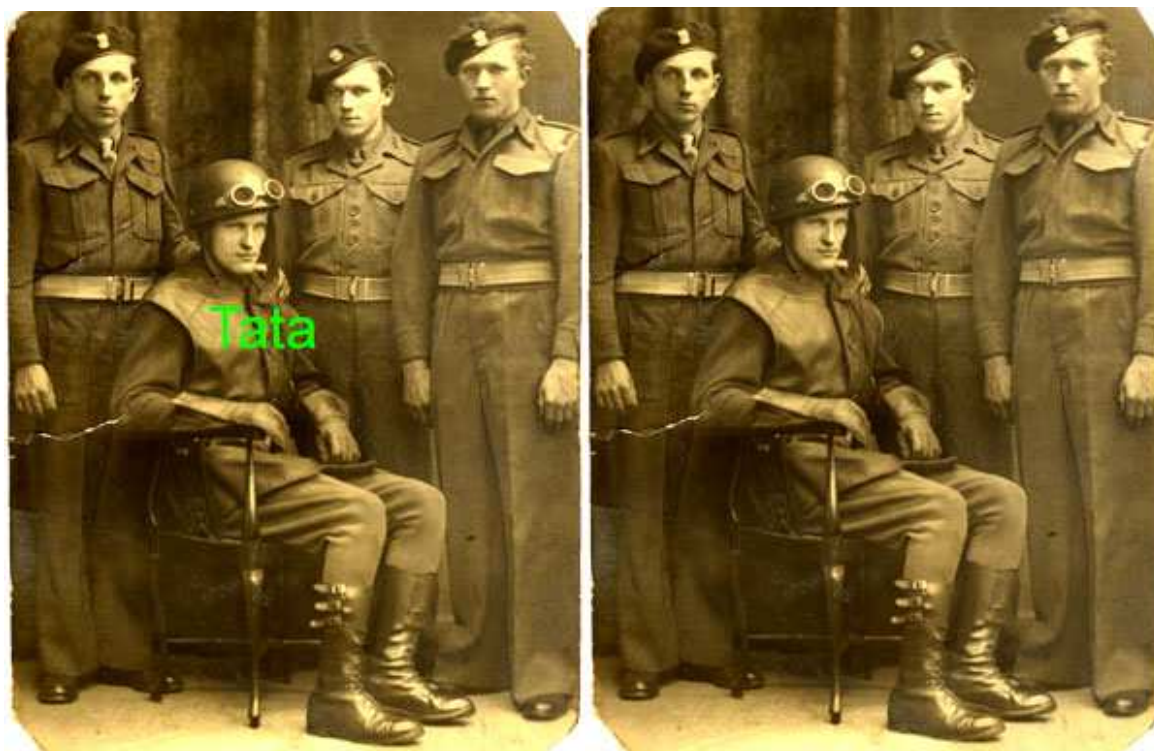
W tym czasie na zachodzie - we Francji, Belgii i Anglii, formowano oddziały Wojska Polskiego.



We wrześniu 1944

Po miesiącu pobytu w obozie dla internowanych, zgłosiłem Amerykanom chęć wstąpienia do Wojska Polskiego. W transporcie z innymi rekrutami, zostałem przewieziony do Szkocji. Wstąpiłem do I Baonu Grenadierów jako goniec motocyklowy.

Ten, chociaż nadal wojenny okres, zapisał się dla mnie niezapomnianymi kartami. Byłem wśród Aliantów. Miałem satysfakcję z powierzanych mi rozkazów i mogłem, pal sześc, że pod ostrzałem wroga, jeździć na najprawdziwszym motocyklu.



Cały czas targały mną uczucia, czy wracać do Polski, czy zostać w Anglii. Wielu z nas miało wtedy takie dylematy. Po dwóch latach wojskowej służby

We wrześniu 1946,

zostawiając mój ulubiony motocykl z przyczepą, wróciłem z Anglii do Polski. To był jeden z najlepszych wyborów w moim życiu.

Sponiewierany, ale w jednym kawałku przywitałem się z matką i ojczymem.

Zniszczony wojną kraj, potrzebował rąk do pracy. A, że najlepiej przeszkolony zostałem w pracach na torach, to zatrudniłem się na kolei. Potem i do końca była już tylko kopalnia.

Po wyzwoleniu, poznałem Stasię. Równie piękną jak córka francuskiego rzeźnika. Z wielkiej miłości urodziła mi czworo dzieci, wśród których trochę zmartwień, ale również sporo radości sprawiała mi Renata.



Życie toczyło się nadal, nareszcie jednak w wolnej Polsce. Często w niedostatku, czasem z szynką na stole.

Wojenne wspomnienia pozostawiły trwałą ślad do końca mojego życia.

I niech już nigdy nie wróci ten czas.

Pozdrawiam Was z wysokiego Nieba - Zygmunt.

Ps. Nadal poszukuję osób i wszelkich publikacji, dotyczących tego konkretnego bauzugu, w którym pracował Tata. Ktokolwiek z Was coś wie - proszę o kontakt.
Zielona Gałązka

Zygmunt



Renata



Stasia



